

Paweł Wakuła

Dębowa kotyńska



Paweł Wakuła
Dębowa kołyska

© by Paweł Wakuła
© by Wydawnictwo Literatura

Książka powstała przy współpracy Lasów Państwowych.

Okładka i ilustracje: Paweł Wakuła

Korekta i skład:
Lidia Kowalczyk, Aleksandra Różanek

Wydanie I

ISBN 978-83-7672-414-0

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2015
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wyd-literatura.com.pl
tel. (42) 630 23 81
faks (42) 632 30 24
www.wyd-literatura.com.pl

Drodzy Czytelnicy,

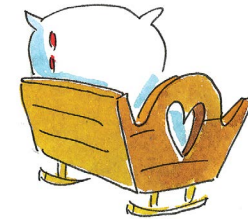
Cieszymy się, że znów mamy okazję się z Wami spotkać! Czas pędzi nieubłaganie i zmienia wszystko dokoła, także życie leśniczego Piątka i mieszkańców Doliny Bagiennej Trawy. Piątek zostaje tatą, a w leśniczówce Klechdy poza małą Anielką pojawia się również wyjątkowo uczynny skrzat – domowik (jak by to było dobrze, gdyby takie domowiki sprowadziły się i do naszych domów!). Rewolucyjne zmiany przynosi także młody bóbr Kastor, który zapewnia wszystkim stworzeniom wodne atrakcje i dobrą zabawę.

Natomiast jedno pozostaje niezmiennie – w lesie, którym opiekuje się Piątek, nadal dzieją się rzeczy niezwykle i magiczne. Was to zapewne jednak w ogóle nie dziwi. Mamy wrażenie, że tak jak my, leśnicy, Wy też czujecie w lesie magię na każdym kroku, na każdej ścieżce, w szumie drzew i w zupełnej ciszy.

Umówmy się więc na spacer po lesie, jak już przeczytacie książkę. Obserwujcie i słuchajcie. Możecie potem sami dopisać kolejne, fascynujące rozdziały tej opowieści!

Leśnicy

Jasna Anielka



Zegar zawieszony na ścianie dawno wybił już północ, ale leśniczy Fryderyk Piątek nie mógł zasnąć – wsłuchiwał się w tajemnicze odgłosy nocy. Co jakiś czas dobiegało go skrzypienie rozsychniętej się drewnianej podłogi lub stukot poruszanych wiatrem okiennic, ale on w napięciu czekał na inny dźwięk. Na płacz małego dziecka.

Wtem coś zaszurało nad jego głową – wyraźnie dobiegł go tupot małych stóp. Piątek usiadł raptownie, gotów natychmiast wyskoczyć z łóżka, ale powstrzymała go silna, choć drobna dłoń żony.

– Zwariowałeś? – wyszeptała sennie Klotylda.

– Słyszałeś ten hałas?! – spytał Piątek.

– Owszem – ziewnęła Klotylda. – To tylko jakaś nerwowa kuna hałasuje na poddaszu.

– A jeśli to Anielka? – zaniepokoił się leśniczy. – Może coś jej się stało, może wyszła z kołyski i...

– Nie histeryzuj, nasza córeczka ma dopiero dziewięć miesięcy i spokojnie śpi w pokoju za ścianą... Prawdziwe kłopoty zaczną się dopiero po wakacjach, gdy będę musiała wrócić do szkoły. Doprawdy nie mam pojęcia, skąd wtedy wytrzaśniemy opiekunkę do dziecka, która zgodzi

się pracować w tej głuszy... – Klotylda odwróciła się na drugi bok i zaczęła leciutko pochrapywać.

Ale Piątek nie mógł zmrużyć oka. Wciąż czujnie nasłuchiwał, gotów zareagować, gdyby tajemniczy odgłos powtórzył się. Ale nic takiego nie nastąpiło. Powoli zaczęła ogarniać go senność.

– Klotylda ma rację... – mruknął sam do siebie. – Jestem przewrażliwiony jak każdy młody ojciec. Prawda jest taka, że mojej córeczce nic nie grozi... Nie w Dolinie Bagienniej Trawy, wśród tylu przyjaciół...

Piątek uśmiechnął się na wspomnienie chwili, gdy ogłosił wielką nowinę. Ależ Maurycy i Ogryzek mieli zdziwione miny! Trzeba przyznać, że stanęli na wysokości zadania – nie minął nawet tydzień, gdy wspólnie z borsukiem Teofilem przytaszczyli do leśniczówki Klechdy piękną dębową kołyskę!

– To od nas wszystkich... Ot, co! – wydukał Teofil. – Niech pańskie młode zdrowo się chowają! Ile ich będzie? Troje, pięcioro, a może siedmioro? Oczywiście urodzą się ślepe w lutym lub marcu! Czy pańska żona zapadnie przedtem w sen zimowy?

– To nie tak! – roześmiał się Piątek. – U ludzi wszystko wygląda inaczej niż u borsuków! Ale bardzo dziękuję wam za ten śliczny prezent, na pewno się przyda!

I kołyska rzeczywiście przydała się. Kilka miesięcy później urodziła się najpiękniejsza istota na świecie! Miała oczy jak dwa leśne jeziora i złociste kręcone włosy. Jeszcze w szpitalu w Krzekiskach, gdy zachwycony Piątek wpatrywał się w nią z nabożeństwem, mimo woli szepnął cichutko: „Jasna anielka”...



Klotylda śmiała się później, że dziecko miało szczęście, bo tatuś mógł zakrzyknąć, jak to miał w zwyczaju: „A niech to brudnica mniszka!” lub „A niech to poproch cetyniak!” – a to nie byłyby właściwe imiona dla małej dziewczynki.

Piątek oczywiście od razu zwariował na punkcie Anielki. Wciąż wydawało mu się, że dziecku grozi jakieś niebezpieczeństwo – te wszystkie choroby i zarazki...

Uśmiechnął się do swoich myśli, ale zaraz spoważniał. Były przecież jeszcze inne zagrożenia. Leśniczówkę otaczały nieprzebyte lasy, a w nich mieszkały stwory rodem z dawno zapomnianych baśni i legend. I nie wszystkie były tak przyjaźnie nastawione do ludzi jak skrzat Maurycy i szczurek Ogryzek!



Gdzieś daleko, wśród bagien i rozlewisk, gnieździła się strzyga Helga, żył straszliwy Bies, podstępny Bełt i okrutna mara... Kto jak kto, ale leśniczy Piątek wiedział, że z leśnymi demonami nie ma żartów.

Doszło do tego, że zaczął patrzeć podejrzliwie nawet na starą przyjaciółkę rodziny, dziwożonę Zuzannę. Czyż baśnie nie wspominały, że przed wiekami dziwożony porywały dzieci z kołyski?

– Na szczęście uporałem się z tą obsesją i teraz wiem, że mojej córeczce nic nie grozi... – westchnął sennie Piątek.

I właśnie wtedy znowu usłyszał tupot stóp i zobaczył, jak po podłodze przemyka dziwna, zgarbiona postać. Zjawa dotarła do rogu sypialni i zaczęła powoli rozpląwać się w ciemnościach, ale przedtem złowrogo błysnęła w jego stronę oczami i parsknęła z pogardą.

Piątek zerwał się z łóżka na równe nogi i, niewiele myśląc, cisnął w intruza ciężkim butem. W nocnej ciszy jak karabinowy wystrzał rozległ się brzęk tłuczonego wazonu, a potem płacz małego dziecka.

* * *

W świetle dnia duchy nie wydawały się już takie groźne. Leśniczy, szykując śniadanie, z zażenowaniem wspominał wydarzenia minionej nocy.

Naturalnie obudził Anielkę, a tego, co usłyszał od żony o histerykach, którzy nie pozwalają innym porządnie się wyspać, wołał sobie nawet nie przypominać!

– To wszystko musiało mi się przyśnić... Chociaż z drugiej strony... – Piątek zadumał się. – Hmm... Na wszelki wypadek sprawdzę, czy na poddaszu nie zagnieździł się przypadkiem jakiś tumak albo kamionka*!

Doskonale wiedział, jakie kłopoty mogą sprawić kuny, które postanowiły zamieszkać pod jednym dachem z ludźmi. Nocne hałasy i gonitwy na strychu, tupanie, szuranie, stukanie i inne dziwne odgłosy – to były zwyczajne niedogodności wynikające z takiego sąsiedztwa. Niektórzy mówili, że mają wrażenie, jakby w ich domu straszył niewidzialny duch.

– Nie, to niemożliwe, żeby jakieś leśne stworzenie zrobiło mi coś takiego – mruknął Piątek. – Nie teraz, gdy wszyscy wiedzą, jak bardzo moja rodzina potrzebuje ciszy i spokoju!

Żeby zupełnie udobruchać żonę, postanowił zrobić na śniadanie owsiankę, za którą Klotylda wprost przepadała. Zagotował w rondelku trochę wody, wrzucił do niej szklanek płatków owsianych i pokrojone w kostkę jabłko, a następnie dodał szczyptę cynamonu. Gdy owsianka była prawie gotowa, sięgnął do szafki po puszkę z rodzynkami.

– Tralala! Klotylda lubi owsiankę z rodzynkami! – podśpiewywał pod nosem.

* Tumak to popularna nazwa kuny leśnej. Jej kuzynka, kuna domowa, nazywana jest kamionką. Oba zwierzątka chętnie wybierają na swoje siedliska zabudowania gospodarskie, a nawet poddasza zamieszkanymi domów.

Przechylił puszkę... i do rondelka posypały się żołądziejce.

– A niech to szczołecznica szarawka! – zaklął z cicha Piątek, mimo woli przywołując jednego z najbardziej uprzykrzonych szkodników dębów. – Kto zrobił mi taki głupi kawał?!

W pierwszej chwili jego myśli podążyły w stronę Ogryzka. Niejeden raz miał ze szczurkiem na pieńku z powodu podjadania przez niego cukru... Ale rodzynki? Ogryzek nie lubił rodzynków, leśniczy wiedział to na pewno, bo widział, jak szcurek wydłubuje je z ciasta.

Zastanawiał się jeszcze nad tą zagadką, gdy na śniadanie zeszła Klotylda z Anielką.

– O! Moja ulubiona owsianka! – zawołała Klotylda i otworzyła szufladę w kredensie. – Gdzie się podziały wszystkie łyżki? – spytała, unosząc brwi.

– Powinny być na miejscu, sam je tam kładłem! – zapewnił ją Piątek, dumny, że z własnej woli pozmywał po kolacji.

– Jesteś tego pewien? – jego żona z dziwną miną wyciągnęła z przegródki na sztućce śrubokręt i kombinerki, których Piątek szukał od tygodnia.

– A niech to zawisak borowiec – wybełkotał zaskoczony leśniczy.

– W nocy krzyczysz, rzucasz butami i tłuczesz wazony, w dzień gubisz przedmioty – powiedziała wyraźnie zmartwiona Klotylda. – Fryderyku, to wszystko dlatego, że za dużo pracujesz. Przydałby ci się urlop!

– Wiesz, że to nie jest takie proste... – westchnął Piątek. – Muszę do końca kwietnia zakończyć plan odno-

wień*. Obiecałem nadleśniczemu Wasiukiewiczowi, że w tym roku posadzę w moim leśnictwie sto pięćdziesiąt tysięcy sadzonek sosny i brzozy! A chciałbym jeszcze założyć nową uprawę bukową. Odyniec Zdzisław i locha Gertruda tak bardzo lubią bukowe orzeszki!

– Bardziej dbasz o mieszkańców lasu niż o samego siebie – powiedziała z wyrzutem Klotylda. – Powiedz, kiedy byłeś na wakacjach?

Leśniczy zadumał się. Prawdę mówiąc, nie pamiętał, kiedy ostatni raz wyjechał z Doliny Bagiennej Trawy. Rok w rok nadleśniczy Wasiukiewicz pod groźbą najstraszliwszych tortur zmuszał go do wzięcia obowiązkowego urlopu, ale nawet zwierzchnik nie potrafił nakłonić Piątka do opuszczenia doliny. Cały swój wolny czas leśniczy poświęcał poszukiwaniom sześcioptaka**, przemierzał niedostępne ostępy, bagna i trzęsawiska po drugiej stronie rzeki, ale niestety nie udało mu się zobaczyć na własne oczy tajemniczego stwora.

Rozmyślenia przerwał mu okrzyk Klotyldy. Gdy on bujał w obłokach, żona nałożyła do miseczki owsiankę i prawie złamała ząb.

* Odnowienie lasu – każdy leśniczy odnawia las, czyli sadi nowe drzewa w miejsce wyciętych (pozyskanych) lub zniszczonych przez klęski żywiołowe (pożar, powódź, wichura). Jeśli sadzenie drzew odbywa się w miejscu, w którym uprzednio nie było lasu, taka czynność nazywana jest zalesianiem.

** Sześcioptak – tajemniczy stwór zamieszkujący Dolinę Bagiennej Trawy, ma cechy aż sześciu ptaków objętych ścisłą ochroną gatunkową: bielika, orlika krzykliwego, bociana czarnego, żurawia, puchacza i cietrzewia. Jeśli chcecie dowiedzieć się o nim czegoś więcej, sięgnijcie po książki *O czym szumi las* i *Na tropie sześcioptaka*.

– A niech to rozwałek korowiec! – jęknął Piątek. – Kochanie, najmocniej cię przepraszam! Ktoś zrobił nam kawał i wsypał żołądzie do puszki z rodzynkami!

Klotylda z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia, co dzieje się w tym domu. Bez przerwy giną jakieś przedmioty! Jestem pewna, że wieczorem zostawiłam szczotkę w kuchni, a dzisiaj rano znalazłam ją pod łóżkiem, mydło zawędrowało wczoraj do maselniczki, a pilot od telewizora przepadł na dobre przed tygodniem. Do tego ktoś zwędził wszystkie łyżki z szuflady i podłożył na ich miejsce swoje narzędzia, a teraz te żołądzie... Jak dorwę w swoje ręce Ogryzka...

– To nie on! – Piątek natychmiast stanął w obronie przyjaciela. Dobrze wiedział, że jego żona nie przepada za szurkiem. – Ogryzek lubi kawały, ale nigdy nie był naprawdę złośliwy! To musi być wina mojego przepracowania...

W odpowiedzi Klotylda ciężko westchnęła.

– Fryderyku, jestem nauczycielką i kocham uczyć dzieci, po wakacjach wracam do szkoły... I naprawdę boję się tego, co się wówczas stanie! Musimy znaleźć kogoś, kto zajmie się Anielką, ugotuje ci jakiś obiad i ogarnie cały ten bałagan! Nie wiem tylko, ile trzeba będzie takiej osobie zapłacić...

– Jakoś damy sobie radę – zapewnił ją Piątek. – Nie takie kłopoty się rozwiązywało!

Klotylda uśmiechnęła się i pocałowała go w czoło.

– Jadę do miasteczka, podobno zwolnił się etat w gimnazjum. Ty zaopiekuj się Anielką. Wypiła już butelkę mle-

ka, o dziesiątej daj jej kaszkę z jabłuszkiem na drugie śniadanie.

– Tak jest! – zasurował Piątek.

– Dasz sobie radę?

– spytała z niepokojem jego żona.

– Mam trochę papierkowej roboty, ale będę pilnował małej jak oka w głowie – zapewnił ją Piątek. – Jedź spokojnie.

– To dobrze – odetchnęła Klotylda. – Z tego wszystkiego nie zdążyłam nawet zjeść śniadania, ale nie sądzę, żeby smakowała mi owsianka z żołądziami. Wyrzuć ją na kompost.

W chwili, gdy wymówiła te słowa, w kącie jadalni rozległo się gniewne fuknięcie i z ciemności wyleciał pilot od telewizora. Zatoczył w powietrzu łuk, uderzył Piątka w czoło i rozpadł się na drobne kawałki.

* * *

Piątek siedział przy komputerze i wypełniał tabelki w Excelu. Kątem oka zerkał na dębową kołyskę, w której gaworzyła Anielka. Westchnął ciężko, bo nienawidził biurokratycznej strony swojej pracy. Zamiast grzebać w papierach i gapić się przez cały dzień w monitor, wolałby iść do lasu na obchód albo pobawić się z córeczką!



– Tu przynajmniej mam cię na widoku – mruknął pod nosem. – Nigdy nie wiadomo, co strzeli do łebka takiej ześwirowanej kunie.

Potał guza na czole. Teraz nie miał już wątpliwości, że w jego domu załagał się tumak albo kamionka. Wiele razy mieszkańcy okolicznych wiosek przychodzili do niego z podobnym problemem i doskonale wiedział, jak wygląda walka z niechcianym lokatorem.

Ludzie, którzy chcieli pozbyć się kuny ze swojego domostwa, zwykle zaczynali od sprawienia sobie ciętego psa lub łownego kota. Z psa kuny tylko się śmiały, kotu wrywały wąsy i przeganiały ze strychu. Zdesperowani mieszkańcy instalowali wówczas na poddaszu urządzenia wysyłające ultradźwięki*. Kuny świetnie bawiły się przy takiej „muzyce”, więc ich nocne dyskoteki były jeszcze bardziej hałaśliwe. Wtedy przychodziła kolej na trutkę...

Piątek na samo wspomnienie takiej podłości aż zatrzęsł się ze złości. Przy każdej okazji tłumaczył ludziom, że trucie zwierząt to zbrodnia! Co to za pomysł, zabijać sąsiada za głośne tupanie po nocy?!

Gdy mieszkańcy wsi upierali się, że kuny muszą zniknąć, wypożyczał im żywołapkę** i tłumaczył, jak jej użyć: „Włóżcie do środka jakiś przysmak, na przykład kurze jajko – mówił. – Kuna na pewno wlezie do środka, a wtedy zatrzasną się za nią drzwiczki. Wywieźcie ją do lasu i wypuście”.

* Ultradźwięki – fale dźwiękowe o częstotliwości zbyt wysokiej, aby mógł je usłyszeć człowiek. Dla niektórych zwierząt mogą być bardzo nieprzyjemne, inne (delfin, nietoperz) potrafią się przy ich pomocy porozumiewać.

** Żywołapka – pułapka przeznaczona do odławiania zwierząt żywcem.

Wstał od biurka i podszedł do kołyski. Anielka nie spała – patrzyła na niego swoimi niebieskimi oczami i ssała palec.

– A gu! Gu! Gu! – zawołał uszczęśliwiony Piątek. – Jesteś głodna? Chcesz kaszkę z jabłuskiem?

W tej samej chwili nad jego głową rozległo się głośne tupanie i pełne złości pofukiwanie.

Dziecko zaniósł się płaczem.

– Tego już za wiele! – rozżościł się Piątek. – Rozumiem, że hałasujesz w nocy, ale w dzień?! Hej! Ty na górze, uspokój się, bo wsadzę cię do worka i wywożę w takie miejsce, że nawet autostopem do domu nie wrócisz!



W odpowiedzi ze strychu dobiegł go złośliwy chichot i ktoś zaczął tak skakać, że aż z sufitu posypał się tynk.

– Weszło ci! – leśniczy poczerwieniał z gniewu. – No to zobaczymy, kto się będzie śmiał ostatni!

Cichutko otworzył klapę i opuścił składaną drabinkę. Zdjął buty i w samych skarpetkach zaczął skradać się na strych.

Gdy był już na górze, raptownie włączył latarkę. Spodziewał się zobaczyć znikający w belkowaniu dachu puszysty ogon lub parę fosforyzujących ślepi... Ale nie zo-



baczył nic. Nigdzie nie było też widać resztek pożywienia i odchodów – charakterystycznych oznak pomieszkiwania kuny.

– A niech to przyszłeczek sosnowiec – mruknął zawiedziony Piątek i niepewnie podrapał się po głowie.

Schodząc na dół, pocieszał się, że i tak nic nie zrobiłby złośnikowi. Był koniec kwietnia, kuna mogła mieć w gnieździe młode, które zdechłyby z głodu, gdyby wywiózł matkę gdzieś daleko.

Włożył buty i dał krok w stronę biurka. To znaczy dałby krok, gdyby ktoś nie związał mu sznurówek. Zamiast tego rymsnął jak długi na podłogę, aż deski jęknęły.

Anielka w swojej kołysce przestała płakać i roześmiała się na całe gardło, a dębowa kołyska zaczęła się bujać.

Oszołomiony Piątek z niedowierzaniem spoglądał to na kołyskę, to na swoje buty.

– Ale jak? Jakim cudem? – wybełkotał.

Już wiedział, że nieproszony gość w jego domu nie jest kuną i że ma osobliwe poczucie humoru. Poza tym było pewne, że jest bardzo, ale to bardzo szybki!

– To niemożliwe, żeby zeskoczył z dachu, pobiegł dookoła domu, wszedł po schodach, związał mi sznurówki i uruchomił kołyskę w tak krótkim czasie! – przekonywał sam siebie Piątek. – Chyba... Chyba że jest ich dwóch albo nawet trzech!

Na wszelki wypadek zamknął włącznik na zasuwę (wiedział, że na niewiele się to zda) i zszedł razem z Anielką do kuchni, gdzie czuł się bezpieczniej.

Zza pieca wyciągnął ciężki pogrzebacz na wypadek, gdyby trzeba było bronić córeczki przed intruzami, i pograżył się w niewesołych rozmyślaniach.

Nie ulegało wątpliwości, że w leśniczówce zagnieździł się złośliwy stwór albo nawet kilka, ale jak bardzo groźnych? Piątek niechętnie przyznał, że dowcipy, choć niskiego lotu, nikomu nie uczyniły krzywdy. Gdyby tajemnicze istoty chciały, bez trudu porwałyby dziecko, podczas gdy on znajdował się na strychu... Na samą myśl, że jego córeczce mogłaby stać się krzywda, zadrzał.

Z drugiej strony nie wiadomo, co takim złośnikom wpadnie do głowy! Jeśli on i Klotylda pójdą do pracy, Anielce będzie potrzebna nie tylko niańka, ale też ochrona.

Jego ponure myśli przerwało stukanie w szybę. Piątek aż podskoczył, ale to był tylko niedźwiedź brutalny Leon



i, będący z nim od pewnego czasu w wyjątkowej komitywie, szop pracz Dzikie Bill.

– Hop, hooop! Panie le...leeeeeśniczy! – zwołał tubalnym głosem Leon. – Nie znalazłaby się dla nas jakaś ro...roooobota?

– Nie! – odburknął Piątek przekonany, że niedźwiedź jak zwykle chce zamieść podwórko albo umyć mu samochód w zamian za spodeczek lipowego miodu.

– Szko...szkoooda!

Nagle Piątkowi zaświtała w głowie genialna myśl.

– A wiesz, Leonie, że owszem! – zwołał, otwierając na oścież okno. – Mam idealne zajęcie dla ciebie i twojego kolegi!



Kawał z brodą

Gdy Klotylda wróciła do domu z miasteczka, pierwszą rzeczą, jaka rzuciła się jej w oczy, był szop pracz z lubością przebierający łapkami w kuchennym zlewie.

– A ten hultaj co tutaj robi? – zdziwiła się żona leśniczego.

– Mówiłem ci, że na wszystko znajdę sposób! – przypomniał jej rozpromieniony Piątek. – Dzikie Bill umył już wannę, kabinę prysznicową i toaletę, zrobił też pra-



nie (ręcznie, bo nie uznaje automatycznej pralki). Talerze były czyste, ale uparł się, że umyje je jeszcze raz, żeby nie wyjść z wprawy! Jak widzisz, sprzątaczkę już mamy!

Klotyldę olśniło.

– A więc to ma być nasza gospośka? A kto zrobi obiad?

– Ja nie! – odezwał się znad zlewu Dzikie Bill. – Nie umiem gotować!

Piątek stropił się.

– To oczywiście jest pewien problem, ale na pewno go rozwiążemy. Grunt, że ktoś po obiedzie pozmywa!

– Kto w takim razie zajmie się Anielką? – spytała Klotylda i rozejrzała się niespokojnie wkoło. – I gdzie ona jest?

– O tym też pomyślałem! – odparł z dumą Piątek. – Jak wiesz, do naszego domu wprowadziły się ostatnio jakieś złośliwe duchy, ale nawet one nie podskoczą nowej niańce!

Z dumą wskazał okno wychodzące na ogród. Klotylda wyjrzała przez nie i zaniemówiła z wrażenia. Na zielonej wiosennej trawce raczkowała Anielka, a w ślad za nią człapał na czterech łapach niedźwiedź brutalny Leon, przywiązany do dziecka sznurkiem.

– Nie! Nie! Nie! I jeszcze raz nie! – oznajmiła stanowczo Klotylda. – Wiem Fryderyku, że miałeś jak naj-



lepsze intencje, ale naszym dzieckiem nie będzie opiekował się niedźwiedź!

– Dlaczego? – zdziwił się Piątek.

– Bo Leon jest pozbawiony manier, *natürlich**!

– zaśmiał się Dzik Bill. – Ja to co innego!

Klotylda wskazała ręką drzwi.

– Obaj wynocha! – krzyknęła rozżłoszczona.

– Ja też? – zdziwił się Piątek.

– Nie ty, tylko ten przemądrzały szkop... Chciałam powiedzieć szop i jego gruboskórny koleżka!

* * *

Klotylda nie gniewała się długo na męża, zresztą nikt nie potrafił się na niego gniewać.

– Co teraz zrobimy? – spytał zmartwiony Piątek, gdy Dzik Bill i Leon w popłochu opuścili leśniczówkę. – Koniecznie musimy znaleźć jakąś nianię dla Anielki!

– Dostałam pół etatu w gimnazjum – odparła Klotylda. – Może wystarczy na pensję opiekunki... Jeśli coś dołożymy.

Piątek pokręcił głową.

* *Natürlich* (niem.) – naturalnie, oczywiście.

– Obawiam się, że nikt nie zechce pracować w takim miejscu. Nawet latem ciężko tu dojechać, a co dopiero zimą... Na dodatek w tym domu straszy!

– Nie bądź głupi! – ofuknęła go Klotylda. – Przecież jesteś światłym człowiekiem, inżynierem leśnictwa! Chyba nie wierzysz w takie przesady!

Piątek po raz pierwszy tego dnia roześmiał się na całe gardło.

– A to ci się udało! Mieszkam w lesie, w którym żyją gadające zwierzęta i postaci z bajek, widziałem prawdziwego Perepluta, Baba-Jaga przyprawiła mi kiedyś szczury ogon, a mara prawie zadusiła na śmierć, i ja mam nie wierzyć w przesady?

Klotylda stropiła się, ale tylko na chwilę.

– Fryderyku, wiem, że potrafisz dogadać się z każdym stworzeniem zamieszkującym Dolinę Bagienną Trawy! Ty jesteś tutaj gospodarzem! Poradzisz sobie i tym razem!

– Skoro tak mówisz... – mruknął mile polectany Piątek. – Zobaczymy, co przyniesie jutro!

Ale nim nadeszło jutro, trzeba było zmierzyć się z terazniejszością. Leśniczy udał się do swojego gabinetu, żeby uporać się z zaległą dokumentacją, jednak podczas pracy przez cały czas miał wrażenie, że nie jest sam w pokoju.

Kilka razy obrócił się niespodziewanie i wówczas wydawało mu się, że widzi jakiś rozmazany szary kształt, który błyskawicznie zniknął w rogu pokoju.

Szybki jest – pomyślał z uznaniem Piątek.

Skończył pracę późno w nocy, przeciągnął się i ziewnął.

– No, na dzisiaj dosyć!